

ŁUKASZ MODELSKI

**ROK W
PRL**

Codziennosc' na kartki

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2025

© Łukasz Modelski, 2025

Opieka redakcyjna: Artur Wiśniewski

Redakcja: Anna Kopeć-Śledzikowska

Korekta: Magdalena Koch

Projekt okładki, opracowanie graficzne i skład: Karolina Korbut

Fot. na pierwszej stronie okładki: Andrzej Rybczyński

Źródła i autorzy fotografii zamieszczonych w książce:

Narodowe Archiwum Cyfrowe – s. 7, 17, 26, 40, 62, 75, 85, 91, 129,
140, 143, 145, 177, 182, 187, 203, 215, 242, 256, 281, 290, 306, 317,
326, 329, 345

fot. Grażyna Rutkowska/Narodowe Archiwum Cyfrowe – s. 10, 13,
35, 45, 48, 80, 102, 154, 156, 159, 190, 245, 251, 272, 274, 334, 341

fot. Lech Zielaskowski/Narodowe Archiwum Cyfrowe – s. 97

fot. Zbyszko Siemaszko/Narodowe Archiwum Cyfrowe – s. 115,
209, 216, 220, 301, 313, 319

PAP/Jan Morek – s. 285

e-PDF ISBN 978-83-277-4469-2

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: WYDAWNICZA • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Artis white 80 g vol. 1.6

PIGUŁKA CZERWONA, CHOĆ JEDNAK NIEBIESKA

Hołubiona po 1990 roku „ostalgia” pomagała w budowie mitu byłej NRD, pomaga nadal w budowie mitu PRL. Termin „szynka jak za Gierka” ma przywoływać wyobrażenie o czymś dawnym, o minionym dobrobycie, czasach na poły legendarnych, kiedy wędliny były uczciwe, zdrowe i smaczne. Symbolem zaś owych czasów jest postać Edwarda Gierka, I sekretarza rządzącej niegdyś w Polsce partii komunistycznej. Wielopoziomowość tej semantycznej pomyłki jest porażająca. Po pierwsze, czasy, o których mowa, daje się łatwo uchwycić, nadal żyją miliony ludzi, którzy je pamiętają. Mityczna szynka, o której mowa, była „kiedyś” „dawno”, ale jednak mnóstwo świadków historii pamięta jej smak. Po drugie, czasy owe miałyby się charakteryzować legendarną jakością artykułów spożywczych. Każdy, kto miał do czynienia z szarym mlekiem z foliowych toreb, twardymi, wysuszonymi śledziami czy niejadalnymi, znikającymi podczas gotowania serdelkami, ten wie, że to nieporozumienie. Po trzecie, Edward Gierek miałby być gwarantem jakości, symbolem Arkadii czy Kukanii? Nic podobnego, totalitarny model sprawowania władzy w gospodarce

stałego niedoboru (wspólna cecha wszystkich krajów demokracji ludowej) dopuszczał rozpieszczanie obywateli najwyżej butelką coli czy kilogramem pomarańczy. Żeby doceniali system. Po czwarte i może najważniejsze, nazwa ta sugeruje, że „za Gierka” była jakaś szynka. Otóż nie, nie było. Bywała, jeśli się ją „upolowało”, „wystało”, „zdobyło” lub „zorganizowało”. Sam wokabulariusz ujawniający się tu w kontekście żywności po chwili namysłu musi budzić niepokój wojenno-łowczą frazeologią podlaną sugestią działań na pograniczu prawa.

W tym wypadku jednak mit powstaje na micie. Pamięć dzieciństwa i młodości płata figle, wiadomo. Jeszcze trudniej się z nią uporać, kiedy na naturalną idealizację „kiedyś-to-były-czasy” nakłada się matrix świata alternatywnego, kreowanego, w którym niegdyś żyliśmy. PRL był bowiem systemową ułudą, błękitną pigułką zapomnienia i nieświadomości, którą jednak, inaczej niż bohaterom filmu *Matrix* z 1999 roku, aplikowano tu przymusowo. Trzeba było dużo siły, żeby się oprzeć jej działaniu. „Bratni naród” (o Sowietach), „wyzwolenie Warszawy” (o wkroczeniu do zrujnowanego miasta, na którego zniszczenie się pozwoliło), „kongres zjednoczeniowy” (o zawłaszczeniu tradycji PPS-u przez partię, która zabijała jego członków), Milicja Obywatelska (o państwowym aparacie represji) nie tylko należą do retoryki Bułhakowskiego „jesiotra drugiej świeżości”, ale – więcej – są częścią konsekwentnie uprawianej przez komunistyczne władze mitografii. Polsko-sowieckie braterstwo broni, awans społeczny możliwy jedynie w PRL-u, reforma rolna czy sam „realny socjalizm” to niektóre mity założycielskie komunistycznej Polski. Mitów tych produkowano setki aż po 1989 rok. Część z nich zresztą przetrwała (że stan wojenny



Upolować, wystać, zdobyć. Tłumy oczekujące na uroczyste otwarcie Spółdzielczego Domu Handlowego „Sezam” w Warszawie, październik 1969

uchronił Polskę przed sowiecką interwencją), a część zrodziła kolejne (szynka jak za Gierka). To byli „oni”. „My” jednak nie pozostawialiśmy dłużni, potrzebowaliśmy własnej mitologii. Było nią na przykład idealizowane przedwojnie, szlachecki rodowód, zagranica, a nawet coca-cola.

Powszechny problem z uwikłaniem w PRL polegał jednak i na tym, że mnóstwo legend i mitów stanowiło płaszczyznę spotkania i współpracy społeczeństwa i władz. Czasem nawet te ostatnie nie musiały się szczególnie trudzić ich podsycaniem.

Od końca PRL-u minęło 36 lat, tyle samo, ile dzieli Manifest PKWN od Sierpnia '80, koniec wojny od wprowadzenia stanu wojennego czy śmierć Stalina od czerwcowych wyborów 1989 roku. Za każdym razem to inna epoka. A jednak strajkujący stoczniowcy (nadal) domagali się „socjalizmu z ludzką twarzą”, Wojciech Jaruzelski „zwracał się [do obywateli] jako żołnierz”, a sowieckie wojska opuściły Polskę dopiero w 1993 roku. Ostatnią (choć w gruncie rzeczy – pierwszą) kampanię wyborczą partii komunistycznej współkoordynował zaś powołany przez Biuro Polityczne KC PZPR Aleksander Kwaśniewski.

Mit żyje własnym życiem, ukorzenia się w przekonaniach, łączy wspomnienia ze skojarzeniami. Żywi się świętami, liturgiami, mieszka w języku i obyczaju, narzuca własną rachubę czasu. Nowe *ab urbe condita* to czas liczony od założenia Republiki lub kolejny rok trwania rewolucji. Tak było też w PRL-u z jego założycielskim 22 lipca i kalendarzami wyznaczającymi kolejne nowe święta, jak godziny apeli w najweselszym baraku w obozie. Ile z nich w nas zostało?

WAM
NIN



1
stycznia
1945

**powołanie Ministerstwa
Bezpieczeństwa Publicznego**

ZIMA

UTRWALACZE

Polska Rzeczpospolita Ludowa była państwem zarządzanym centralnie. Z centralnego rozdzielnika nakazywano również budowanie pomników. Pomniki upamiętniały to, co upamiętniać kazano – szczególnie rozpowszechnione były „pomniki wdzięczności Armii Czerwonej” stojące na głównym skwerku niemal każdego miasteczka, mające formę tablic, obelisków lub alegorycznych, a czasami realistycznych przedstawień figuralnych (często też w funkcji pomnika wdzięczności występował radziecki czołg). Były niemal tak powszechne, jak we Francji pomniki poległych w Wielkiej Wojnie.

Innym tematem, zresztą znacznie bardziej widowiskowym i kontrowersyjnym, było upamiętnienie tzw. utrwalaczy. Ten termin ze słownika analogowej fotografii (utrwalacz to chemiczna kąpiel, do której trafia naświetlona pod powiększalnikiem i wywołana odbitka) stanowił nieoficjalną, za to powszechnie stosowaną nazwę „poległych w walce o utrwalanie władzy ludowej”, a zatem bohaterów Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa przede wszystkim z czasów stalinowskich, kiedy terror bezpieki

był najbardziej krwawy. Pomniki utrwalaczy stały w licznych polskich miastach i miasteczkach, łącznie ze stolicą. W Warszawie pomnik nosił nazwę „Poległym w służbie i obronie Polski Ludowej” i został wzniesiony stosunkowo późno, dopiero w lipcu 1985 roku, na jubileusz 40-lecia PRL. Honorowym (?) przewodniczącym budowy pomnika został marszałek Michał Rola-Żymierski, łączący PRL z wyobrażeniami na temat Polski przedwojennej. Pomnik powstał lat zaledwie sześć, rozebrano go w 1991 roku. Sześćdziesiąt ton granitu i brązu przydało się do innych celów. Pozostałości pomnika utrwalaczy z placu Żelaznej Bramy w Warszawie trafiły do muzeum w Rudzie Śląskiej.

Pomnikiem utrwalaczy jest również lubiany przez historyków sztuki monument „Poległym w walce o utrwalenie władzy ludowej na Podhalu” Władysława Hasiora, czyli tzw. Organy na przełęczy Snozka koło Czorsztyna. W monumentalnej żelaznej konstrukcji z 1966 roku artysta zamontował piszczałki organowe, gongi, flety i dzwonki po to, by wiatr komponował monumentalną muzykę poświęconą poległym ubekom. Ludność Czorsztyna i okolic, nie mogąc usunąć pomnika, doprowadziła jednak szybko do usunięcia piszczałek, gongów i fletów, motywując swoją prośbę tym, że w rejonie pasterskim szkodzą one dobrostanowi owiec. „Organy” ciągle stoją pomimo nieprzerwanych protestów. Rdzewiejące przez dekady, w 2010 roku zostały odnowione. Miejsca piszczałek i gongów zajęły pasterskie dzwonki. Artysta chciał podobno po latach zmienić nazwę pomnika, ale jego prośby pozostały bez odpowiedzi.

W całej Polsce pozostało dość dużo pomników utrwalaczy. Gdzieś niedługo można je nadal zobaczyć. Wprawdzie lata świetności mają już za sobą, jednak samych monumentów nadal nie rozebrano.



**Pomniki wdzięczności Armii Czerwonej można było w PRL znaleźć
na skwerze każdego miasteczka – Łowicz, 1972**

W zależności od tego, jak sprawna była lokalna organizacja partyjna, liczba pomników mogła się zwiększać lub zmniejszać. W Zabłociu koło Kodnia na Podlasiu, a więc tam, gdzie działalność UB była najbardziej krwawa, postawiono w niewielkiej odległości dwa pomniki Armii Czerwonej, a w niedalekim ich sąsiedztwie – wzniesiono pomnik z inskrypcją „Funkcjonariuszom

mo i SB poległym w walce o utrwalenie władzy ludowej”. Decyzją rady gminy w 2012 roku pomnik ten... odnowiono.

Najciekawsze losy miał pomnik utrwalaczy w Koszalinie. Wzniesiony, podobnie jak warszawski, w 1985 roku z inicjatywy szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, został w wolnej Polsce rozebrany. Jego żyjący autor postanowił dokonać twórczego recyklingu elementów monumentu, wykorzystując jego elementy do budowy nowego, tzw. Martyrologium Katyńskiego, czyli tablicy na ścianie koszalińskiego kościoła Świętego Ducha.

Ostatnim bodaj pomnikiem utrwalaczy usuniętym (jak dotąd) w wolnej Polsce był monument w Rykach. Obelisk, powszechnie nazywany „ubeliskiem”, usunięto dopiero w 2013 roku. A decyzja o tym wcale nie była jednoznaczna.

ZBROJNE BANDY REAKCYJNEGO PODZIEMIA

Zbrojne podziemie antykomunistyczne, owszem, istniało. W wymiarze propagandowym było jednak szczególnym obszarem szczególnej troski komunistycznych władz. Oficjalna retoryka tworzyła do opisywania poakowskiej partyzantki osobny język. Podziemie antykomunistyczne, którego ostatni żołnierz został zabity w roku 1963, nie składało się więc z oddziałów, ale z „band”, nie służyli w nim żołnierze, ale „bandyci” lub w najlepszym razie „członkowie grup”. Typowe dla języka PRL-u nagromadzenie przymiotników czyniło z leśnych oddziałów „zbrojne

bandy reakcyjnego podziemia”, faszystów, reakcjonistów, rewanżystów, wrogów Polski Ludowej i współpracowników ss. Walka w obronie władzy ludowej doczekała się osobnego odznaczenia, a żołnierze podziemia w licznych karykaturach noszą na ramionach opaski ze swastyką. Historycznym paradoksem jest zwrot „zapłuty karzeł reakcji”, określający w komunistycznej propagandzie żołnierzy antykomunistycznego podziemia, spopularyzowany przez socrealistycznego malarza i plakacystę Włodzimierza Zakrzewskiego.

Zwrot ten nawiązuje bowiem wprost do słynnego przemówienia Józefa Piłsudskiego, który w 1922 roku określił tak polityków Narodowej Demokracji, a konkretnie Stanisława Strońskiego. Podziemie niepodległościowe, masowo prześladowane przez Armię Czerwoną, NKWD, Smiersz, Ludowe Wojsko Polskie oraz Milicję Obywatelską, pozwala nawet, jak czynią to niektórzy publicyści i historycy, mówić o powojennym powstaniu antykomunistycznym. Właśnie w celu rozprawy z antykomunistycznym podziemiem na prośbę Bolesława Bieruta wstrzymano po wojnie wycofywanie z Polski wojsk sowieckich. Nad Wisłą pozostała do dyspozycji towarzyszy polskich 64. Dywizja NKWD, a o obławie augustowskiej w 1945 roku milczano uparcie do końca PRL-u. Ukryta po lasach „reakcja” była używanym przez władze straszakiem nawet w latach 70. – komiks o „bandach” napadających na transport z pieniędzmi dla ludzi pracy pojawił się nawet w kultowym zbiorze komiksów „Relax” z końca liberalnej dekady Gierka. A tysiące polskich domów skrywały „leśne” historie, o których głośno się nie mówiło, tworząc inne oblicze legendy.

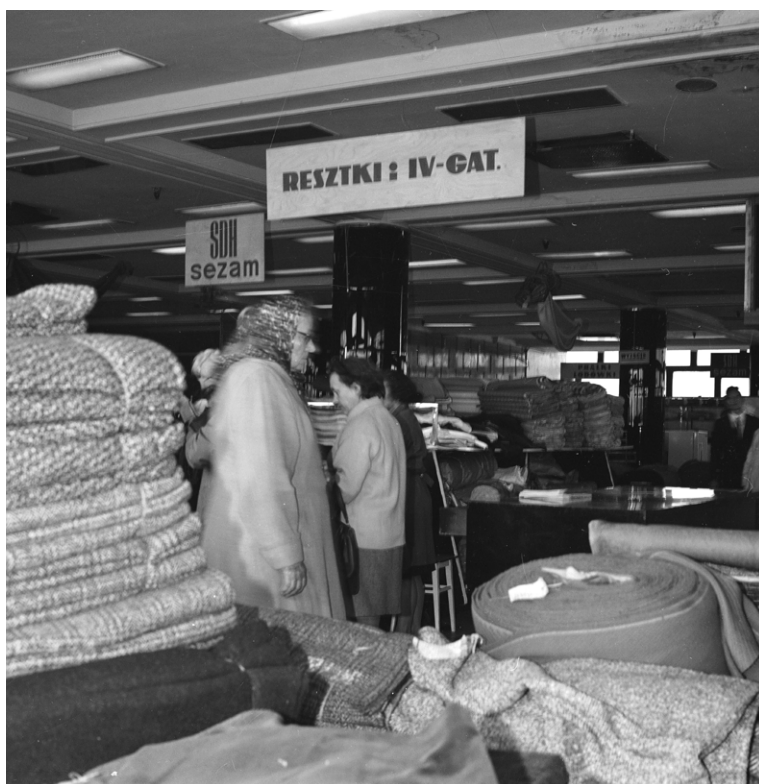
1
stycznia
1974

otwarcie pierwszego sklepu
sieci Pewex

IMPORT-EKSPORT

Zagranica w PRL-u stanowiła tajemniczą krainę podobną nieznanym ziemiom rysowanym na średniowiecznych mapach. Była w tamtych czasach postrzegana na sposób sowiecki – „bliska” i „daleka”. Ludzie uwięzieni we własnym kraju, którzy musieli otrzymywać każdorazowo zgodę władz, by wyjechać choćby na chwilę, musieli zagranicę mitologizować. Choć „zagraniczność” oznaczała pierwotnie „zachodniość”, to bliska zagranica również się liczyła. Za granicą bowiem, może z wyjątkiem Rumunii i Albanii, było zawsze lepiej niż w PRL-u. W Bułgarii były pachnące mydła i wołowe ćevapčići (a pod koniec epoki komunizmu w tej części Europy także napoje Schweppes). W Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej – kolorowe obuwie i nieznane nad Wisłą niewielkie, nowoczesne plecaczki wycieczkowe. NRD płynęło niedostępnym w PRL-u piwem, Węgry stały niemal nieobecne w Polsce wówczas papryką i egzotycznymi smakami. Nawet Związek Radziecki miał swój urok, ponieważ w zimie nadal sprzedawano tam lody.

Zagraniczność bliskiej zagranicy nie była jednak tak zagraniczna jak zagraniczność Zachodu. To w odniesieniu do zachodnich



Gdy nie udało się załapać na odrzut z eksportu, pozostawały resztki i czwarty gatunek

dóbr i towarów stosowano wszystko mówiący przymiotnik „zagraniczny”. A więc – lepszy, bogatszy, ładniejszy, bardziej udany. Zagraniczny mógł być samochód, z oczywistych względów bardziej atrakcyjny od krajowej syrenki. Zagraniczne były gumy do żucia i dżinsy. Oraz niedostępne dobra z Peweksu. Wiadomo było, że zagraniczność to coś, co trzyma zupełnie inne standardy

niż w PRL-u. Jest atrakcyjne, kolorowe, niewybrakowane i nie w drugim czy trzecim gatunku.

Mocną pozycję zagraniczności wzmacniała PRL-owska polityka eksportowa. Towary przeznaczone na eksport, wiadomo, były wykonane lepiej. W PRL-u najpowszechniej poszukiwaną namiastką zagraniczności były właśnie odrzuty z eksportu, czyli coś, co nie spełniało zagranicznych standardów, ale dalece wykraczało poza standardy obowiązujące w PRL-u. Odrzuty z eksportu sprzedawano często po znajomości, spod lady, traktując to jako akt specjalnej uprzejmości. Symbolicznego znaczenia nabiera fakt, że produkowany w Polsce fiat 126p, na zakup którego i tak trzeba było się zapisywać i czekać latami, w wersji eksportowej był samochodem dużo lepszej jakości niż ten produkowany na rynek krajowy. Prowadziło to do oczywistych poszukiwań egzemplarzy będących odrzutami z eksportu, a nawet do desperackich aktów kupowania „malucha” za granicą, by mieć pewność, że będzie mniej zawodny niż ten nabyty w Polsce.

Zagraniczność, starannie limitowana przez komunistyczne władze, stała się przedmiotem pożądania tak silnym, że przed sklepami gospodarki uspołecznionej sprzedawano plastikowe torby, tzw. reklamówki, z reklamami zagranicznych firm. Młodzi pisali do firm samochodowych na świecie, błagając o darmowe foldery, a obiektami kolekcjonerskimi stawały się pudełka po zagranicznych papierosach i puszki po zagranicznych napojach.

Te wszystkie zagraniczności sumowały się w pewien ogromny obszar pożądania. Nie miało wielkiego znaczenia, z jakiego kraju pochodzi owa zagraniczna rzecz. Rozróżnienie pomiędzy Francją, Holandią czy Wielką Brytanią pod tym względem nie istniało.

PRL jako fabryka narodowych kompleksów zrobił swoje. Niektóre polskie produkty do dziś nie mogą się przebić do życzliwej świadomości rodaków.

Zagranica miała także jedną zasadniczą cechę i z tego punktu widzenia rzeczywiście nie było istotne, który kraj ową zagranicę reprezentuje. Za granicą, tą daleką, po prostu nie było komunizmu, a przebywając za granicą, po prostu nie było się w PRL-u.



stycznia
1967

śmierć Zbigniewa Cybulskiego

KAWALER I ŚMIETNIK

Aktor o najmocniejszej legendzie, nie tylko w PRL-u, ale jak dotąd także w historii polskiej kinematografii. Nazywany polskim Jamesem Deanem, wielokrotnie przewyższał go talentem. Zbigniew Cybulski stał się legendą jeszcze za życia, a już z pewnością natychmiast po przedwczesnej śmierci pod kołami pociągu.

Cybulski żył zbyt krótko, by uwolnić się od wizerunku Maćka Chełmickiego, pokoleniowego bohatera filmu *Popiół i diament* Andrzeja Wajdy, ekranizacji powieści Jerzego Andrzejewskiego. Kreacja z 1958 roku towarzyszyła mu na co dzień przez ostatnią

dekadę życia. Przyciemniane okulary, w których zagrał, zyskały status kultowych (nosił je już zawsze, zdjął jedynie, by zagrać Alfonsa van Wordena w *Rękopisie znalezionym w Saragossie* Wojciecha Jerzego Hasa), podobnie zresztą jak strój Cybulskiego: wojskowa kurtka, dżinsy i chlebak. Mit Zbyszka był tak potężny, że jeszcze kilkakrotnie w karierze grywał znanego aktora, poniekąd siebie jako ikonę.

Choć Zbigniew Cybulski starał się grać role różnorodne (wielka kreacja w filmie Hasa sąsiadowała z nieco lżejszą rolą w komedii *Giuseppe w Warszawie*), żadna z kolejnych nie miała takiego znaczenia i ciężaru jak ta reprezentująca polskie *lost generation*. Zdaje się zresztą, że Cybulski tyle oddał Maćkowi Chełmickiemu, ile Maciek Chełmicki dał jemu.

Zarówno *Pociąg Kawalerowicza*, jak przede wszystkim *Do widzenia, do jutra* Morgensterna umocniły obraz Zbigniewa Cybulskiego jako aktora wszechstronnego, mogącego zagrać każdą rolę. Zresztą film Morgensterna wzmocnił wizerunek kruchego chłopca, którego chciała przytulić cała żeńska część widowni widząca siebie w jednym z licznych romansów aktora (a może i w nowej wielkiej miłości zwieńczonej małżeństwem, jak to z koleżanką z gdańskiego kabaretu Bim-Bom).

Zbigniew Cybulski stał być może u progu wielkiej międzynarodowej kariery. Miał występować w *Tramwaju zwanym pożądaniem* w Stanach Zjednoczonych, zagrać w filmie z Marleną Dietrich. Skok do jadącego pociągu był jego znanym w środowisku numerem popisowym, ogranym w kilku filmach, w których występował. Figurą Cybulskiego jest również główny bohater *Przypadku* Krzysztofa Kieślowskiego. Jednak nawet kreacja wszechstronnego wówczas Bogusława Lindy, postaci także dla polskiej

kinematografii mitycznej, nie osiągnęła poziomu legendy. Zbigniew Cybulski, wszechstronny, pracowity i pożądaný, splótł się z przepotężnym w Polsce mitem Armii Krajowej. Trudno to przebić.

10

stycznia

1976

nowelizacja konstytucji PRL

USTRÓJ POWSZECHNEJ SZCZĘŚLIWOŚCI

Łatwiej powiedzieć, czym nie był socjalizm w PRL-u, niż czym był. Pojałtańska Polska prześladowała socjalistów, najlepszym przykładem jest zamęczony w stalinowskim więzieniu Kazimierz Pużak. Socjalizm w PRL był eufemistyczną nazwą komunizmu, z drugiej jednak strony nie był to na pewno komunizm wojenny. Socjalizm krajów demokracji ludowej był więc miękką formą komunizmu, całkowicie scentralizowanym systemem nakazowo-rozdzielczym, w którym całość środków produkcji, by rzecz po marksistowsku, znajdowała się w rękach państwa.

21

Socjalizm to nie był tylko system gospodarczy, wiązało się z nim wiele pojęć, na przykład „socjalistyczne współzawodnictwo pracy”,

czyli praca ponad siły w imię niejasnych zasad ustrojowych. Była też „socjalistyczna moralność”, pojęcie dość mgliste, sprowadzające się głównie do tego, żeby Kalina Jędrusik, znana aktorka i piosenkarka, ówczesna seksbomba, zbyt nie obnażała. Równie ważny był „socjalistyczny realizm”, czyli centralnie określony, triumfalny komunistyczny monumentalizm narzucony w Polsce po 1947 roku (sztuka miała być „realistyczna w formie, socjalistyczna w treści”). Socjalizm to także jednak „socjalistyczna ojczyzna” i „praca socjalistyczna”, która miała swoich bohaterów, a przede wszystkim to „państwa socjalistyczne”, czyli te pozostające w orbicie wpływów ZSRR. Socjalizm był wszechobecnym pojęciem wytrychem, terminem obowiązującym w każdej dziedzinie życia. Przeciwników określano mianem „elementu antysocjalistycznego” albo oskarżano o chęć zmiany ustroju (socjalistycznego, wiadomo). Oskarżenia te miały coś z ekskomuniki, były najsilniejszym z zakłęb używanych przez władze. Dlatego obywatele domagający się wolności nakładali sobie kaganiec autocenzury, wznosząc hasła w rodzaju „socjalizm tak – wypaczenia nie”, lub domagając się „socjalizmu z ludzką twarzą” zamiast po prostu wolności. „Socjalizm z ludzką twarzą” zresztą w tamtych warunkach sam w sobie był oksymoronem, ponieważ ów socjalizm, jako się rzekło, nie był socjalizmem. A jednak nie mówiło się o komunizmie. Choć sowiecka partia była „komunistyczna” (Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego – taka nazwa obowiązywała w Polsce), to rewolucja październikowa była wprawdzie „wielka”, ale już „socjalistyczna”, podobnie jak republiki ZSRR. Był Komintern i Komsomoł, i Pik Kommunizma, ale w Polsce działało Socjalistyczne Zrzeszenie Studentów Polskich i chętnie przywoływano „socjalistyczną ojczyznę”,

jak wyżej. Komunizm w ówczesnym języku oznaczał minione czasy stalinizmu, okres błędów i wypaczeń. W PRL-u socjalizm miał być wspólną płaszczyzną, na której wszyscy Polacy mogli się spotkać. W tym semantycznym zamieszaniu bojowiec Józef Piłsudski, więzień Łubianki Władysław Broniewski czy syberyjski zesłaniec Aleksander Wat byli socjalistami, tak samo jak Władysław Gomułka.

Socjalizm to także bezpłatna edukacja, opieka medyczna, a nawet bezpłatne mieszkania, które się „dostawało”. Żadna z tych zdobyczy socjalizmu nie funkcjonowała jednak należycie. Edukacja była narzędziem indoktrynacji. PRL-owska szkoła nie goniła za jakością. Jak w wielu dziedzinach gospodarki socjalistycznej tak i tu wyższą jakość wykształcenia zawdzięczało się przede wszystkim dobrej woli i przyzwoitości (już wówczas źle opłacanych) nauczycieli. Niewydolny system opieki medycznej, którego do dziś nie udało się wybić z ugruntowanego wówczas paradygmatu, czy nieudany eksperyment z darmowymi mieszkaniami – od ich dystrybucji poczynawszy („Ja w 97 miałem mieszkanie dostać!” – wykrzykuje z żalem bohater *Seksmisji* Juliusza Machulskiego), na architekturze skończywszy, dowodzą kompromitacji ówczesnej PRL-owskiej, czy szerzej – sowieckiej wersji socjalizmu. A jednak bezpłatne szkolnictwo wyższe istotnie było bezpłatne, bezpłatna była opieka medyczna, choć niedostępna dla każdego potrzebującego, i choć wszyscy zrzucali się na niewydolne ubezpieczenia społeczne, pozwalano szczęśliwcom korzystać z nawet najbardziej skomplikowanych operacji.

Irytująca niewydolność rozwiązań systemowych wprowadzanych po 1989 roku każe czasem spoglądać z nostalgią wstecz („kiedyś było lepiej”). Istotą realnego socjalizmu była pozorna

równość przy zupełnie prawdziwym braku wyboru. „Bezpłatny”, wspólny i równościowy PRL to jeden z najstaranniej ugruntowanych (i perfidnych) mitów tamtej epoki, którego długie trwanie zadziwia. „Wujku, / co wy robicie tu, / wszyscy wujkowie duzi? / Co? / Socjalizm: / swobodny trud / swobodnie / zrzeszonych ludzi” – wyjaśniał Włodzimierz Majakowski, uczciwie stwierdzając wcześniej, że „Roboty tej / nie odrobić w mig, / nie zarobić / przy niej / kopiejek”. Mit lepszej przyszłości, szczęścia przyszłych pokoleń i wspólnego trudu czynił z socjalizmu obiekt kultu religijnego. W socjalizm trzeba było „wierzyć”, „bronić” go, „budować”, dążyć do niego, nigdy go nie osiągając. „Socjalizmu nie można zadekretować. Rodzi się on i rodzić się może tylko w wolnym działaniu wolnych ludzi” – pisał na poły mistycznie w odważnym liście do Edwarda Gierka profesor Edward Lipiński. PRL nie znał i z oczywistych względów nie chciał znać socjalizmu nie-marksowskiego, lecz i ten był zakorzeniony w jakiejś niesprecyzowanej przyszłości.

Konstytucja PRL w słynnej noweli z 1976 roku zmieniała pierwszy punkt z brzmienia „Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem demokracji ludowej” na „Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem socjalistycznym”, a „ochrona i rozwijanie socjalistycznych zdobyczy” oraz „urzeczywistnianie i rozwijanie demokracji socjalistycznej” były zapisane niewiele niżej. Na przymiotnik „socjalistyczny” wpadało się na każdym kroku, był on z jednej strony znaczeniowo nieokreślony, z drugiej – przeciwnie – pełen znaczeń, których można się było tylko domyślać lub je wyczuwać. „Czym różni się demokracja od demokracji socjalistycznej? – pytano. – Tym, czym krzesło do krzesła elektrycznego”. I wszystko było jasne.

17
stycznia
1945

wyzwolenie Warszawy

ZIMA

GDZIE WIOSNA SPALINĄ ODDYCHA

To jeden z silniejszych i bardziej uniwersalnych mitów PRL. Mit łączący, budujący poczucie wspólnoty. „Cały naród budował swoją stolicę”. Oczywiście był to akt symboliczny, po wojnie Warszawa nie musiała przecież zostać odbudowana, rozważano przeniesienie stolicy do Łodzi. Jednak biorąc w nawias aspekt czysto polityczny (Stalinowi ta odbudowa była z różnych względów na rękę), decyzja o odbudowie Warszawy miała w gruncie rzeczy charakter narodowotwórczy i taką też funkcję Warszawa po wojnie zaczęła pełnić. Zwłaszcza, że zdecydowano się na coś w rodzaju „rekonstrukcji” miasta, odtworzenia (do pewnego stopnia, oczywiście) jego przedwojennego kształtu. Pomimo że w odbudowanej Warszawie znajdują się cegły i kamienie ściągane z innych polskich miast ku niezadowoleniu ich mieszkańców, to odbudowa stolicy z niebytu – wbrew historii, wbrew Hitlerowi, miała znaczenie symboliczne, spajające, budujące. Wysyp piosenek z każdej właściwie strony wzmacniał ideologię i komunikację tego aktu.



„Niedowiarki, czcze umysły plotą nam rozprawy, że na lewym brzegu Wisły nie ma już Warszawy”, śpiewało Mazowsze, a socrealistyczna piosenka *Budujemy nowy dom* opowiadała o budowie w Warszawie właśnie. Zresztą niejedyny to utwór, który opowiada o budowie stolicy. To jeden z tych obszarów powojennego życia, w których entuzjazm był niekłamany. Dlatego optymistyczne *Na lewo most, na prawo most* mieszało się z sentymentalnym *Ja wiem, żeś ty dzisiaj nie taka* Mieczysława Fogga i stachanowskimi piosenkami o murarzu, który nie ma czasu dla swojej dziewczyny, gdyż „teraz robi Żerań”. Trudno byłoby nie skorzystać z tak sprzyjającej koniunktury – wszyscy odbudowywali Warszawę, ze Starówką i w końcu – wraz z Zamkiem Królewskim.

Rzecz jasna, wznoszono też całkiem nowe budowle, zmieniając tym samym oblicze miasta – Pałac Kultury i Nauki jest tego wyrazistym przykładem, podobnie zresztą jak Mokotowska Dzielnica Mieszkaniowa ze swoim socrealistycznym, reprezentacyjnym obliczem. A jednak mimo że z jednej strony księżyc „świecił budowniczym Pałacu Kultury”, to poniekąd Niemenowski *Sen o Warszawie* mieści się w tym samym nurcie. Wszyscy (w Polsce?), chcąc nie chcąc, staliśmy się częścią warszawskiego mitu i „warszawskich kolorowych dni”.

Odbudowa Warszawy to przykład czegoś, co się komunistom naprawdę udało, bo zyskało niekłamane społeczne poparcie. Dlatego tak często Warszawa trafiała na pierwszą linię frontu propagandy. Mało tego, z czasem zrujnowana stolica zaczęła znowu przypominać o bezpośredniej przyczynie tego zniszczenia. O powstaniu warszawskim długo nie można było mówić, komunistyczne władze kładły nacisk na datę 17 stycznia, czyli rocznicę „wyzwolenia Warszawy”, datę wkroczenia tu Armii Czerwonej

i I Armii Ludowego Wojska Polskiego. Opuszczona przez mieszkańców i spalona Warszawa nie była zdobywana, po prostu do niej wkroczone. Nie było czego świętować, o Warszawę nie toczyły się w styczniu 1945 roku żadne walki. A jednak ta data była mocno nagłaśniana i podkreślana w propagandzie, w szkołach, w przedszkolach i wiecach w zakładach pracy. Co więcej – w całym kraju, nie tylko w stolicy. Mit 17 stycznia miał przysłonić mit 1 sierpnia.

Warszawskie pomniki – Syrenka, Nike, były miejscami, pod którymi bez przerwy celebrowano przeróżne rocznice, składano kwiaty, przemawiano i manifestowano. W tym sensie Warszawa stawiała się poniekąd całą Polską, czymś więcej niż tylko jej stolicą. Stało się tak nie tyle ze względu na stołeczne przymioty miasta, ile dlatego, że zbudował je od nowa cały nowy kraj. Ceną za wyniesienie Warszawy był oczywiście spadek znaczenia innych miast i regionów, zwłaszcza kiedy z czasem w Polsce pojawiło się kilkadziesiąt województw. Warszawski mit pozostał, przetrwał PRL i ma się zupełnie nieźle, „topograficzna” decentralizacja tego symbolicznego myślenia zaczęła się w Polsce bardzo niedawno, granicą wcale nie był tu rok 1989.

„Warszawa jedna twojej mocy się urąga”, „za każdy kamień twój, stolico, damy krew”, „najpiękniejszy mój świat, najpiękniejsze dni” i „kocham to miasto, zmęczone jak ja” to do dziś bardzo mocne frazy. Piętno warszawskiego mitu jest zapewne silniejsze, niżby nam się wydawało (łącznie z całkowicie wypaczonym obrazem miasta jako jakiegoś przedwojennego „Paryża Północy”). Mówi się, że żadna ze światowych stolic nie reprezentuje reszty kraju, że to miasta szczególne, inne, poniekąd sztuczne. W tej kategorii Warszawa była i jest czempionem.

17
stycznia
1971

emisja pierwszego odcinka
Z kamerą wśród zwierząt

ZIMA

CZAR PAR

Komunizm również miał swoje *power couples*. W krajach demokracji ludowej bardzo często były nimi małżeństwa pierwszych sekretarzy partii komunistycznych. Najsilniejszą, najdłużej rządzącą *power couple* komunizmu, byli oczywiście Nicolae i Elena Ceaușescu – małżeństwo, które przez dekady, do końca komunizmu rozdawało karty w Rumunii. Wśród polskich *power couples* u władzy najsilniejszy wizerunek miało małżeństwo Edwarda i Stanisławy Gierków. Stanisława zawsze stała na pierwszomajowej trybunie pod Pałacem Kultury, godzinami ciskając goździki w maszerujące tłumy. Ponieważ era Gierka była już erą telewizji, właściwie powszechnej, parę tę we wspólnych akcjach mogliśmy oglądać bardzo często. Edward i Stanisława Gierkowie to jednak niejedyna „para mocy” PRL. W poprzedniej dekadzie premierowi Józefowi Cyrankiewiczowi towarzyszyła olśniewająca przedwojenną urodą Nina Andrycz, kolejna należała już do Lecha i Danuty Wałęsów.

Silnych par funkcjonujących w przestrzeni publicznej było wiele – może wskazać na Artura Sandauera i Ernę Rosenstein

jako silną parę funkcjonującą w przestrzeni publicznej. Idąc tym tropem, można wskazać Artura Międzyrzeckiego i Julię Hartwig, Wandę Warską i Andrzeja Kurylewicza, Andrzeja Wajdę i Beatę Tyszkiewicz, Adama Hanuszkiewicza i Zofię Kucównę, Agnieszkę Osiecką i Daniela Passenta, Alinę Janowską i Wojciecha Zabłockiego, Gustawa Holoubka i Magdalenę Zawadzką, Morgensternów, Komedów, legendarne stadło Kaliny Jędrusik i Stanisława Dygata, Mariana Brandysa i Halinę Mikołajską czy Lucjana Kydryńskiego i Halinę Kunicką. Może nawet Przemysław Kwiek i Zofię Kulik, Wisławę Szymborską i Kornela Filipowicza oraz Mieczysława Rakowskiego i Wandę Wilkomirską. Najsilniejsze w społecznym odbiorze *power couples* występowały w telewizji, co zrozumiałe. Żaden z duetów wymienionych wyżej nie mógł się ścigać na popularność, rozpoznawalność, ani nawet na powszechną estymę z uwielbieniem, jakim darzono jedną z najpopularniejszych par późnego PRL-u – Elżbietę Dzikowską i Tony’ego Halika. Dzikowska i Halik byli podróżnikami co tydzień pokazującymi Polakom materiały z najbardziej egzotycznych zakątków świata, komentującymi je i opowiadającymi o wspólnym podróżowaniu. Była to w latach 80. rzecz pokazywana w PRL po raz pierwszy, przełomowa i kultowa. „Tu byłem, Tony Halik” jeszcze do dziś pisze się tu i tam na polskich murach. Najważniejsza *power couple* PRL – państwo Gućwińscy, para dyrektorów wrocławskiego zoo – miała jednak staż telewizyjny dłuższy od podróżników. Przez 32 lata w programie *Z kamerą wśród zwierząt* co tydzień opowiadali w telewizji o zwierzętach. Robili to bardzo dobrze. Podobny program mogliby w gruncie rzeczy prowadzić w BBC. Co więcej, pokazywali zwierzęta całkowicie ze sobą zaprzyjaźnione. Dziś zapewne można byłoby mieć do nich

mnóstwo pretensji, w PRL jednak państwo Gucwińscy byli ikoną. Zwłaszcza, że było im po drodze z PZPR (do tego stopnia, że Antoni Gucwiński z ramienia konającej partii kandydował jeszcze do Senatu). Ludzie chcieli oglądać i zwierzęta, i zgodne małżeństwo. Zresztą tematy niepolityczne cieszyły się w TVP największym zainteresowaniem. Nie wiadomo, czy pod koniec epoki PRL był w Polsce ktoś, komu nazwisko Gucwińskich nie obiloby się o uszy. Ich program nadawano od 1971 do 2002 roku. Zmarli jedno po drugim na początku lat 20. XXI wieku. Być może to właśnie państwo Gucwińscy stali się ostatnim wspomnieniem tamtych czasów.

19
stycznia
1947

wybory do Sejmu
Ustawodawczego

STAN, STÓŁ I FABRYKA MITÓW

Jedna z bardziej szczegółowych PRL-owskich legend produkowanych gdzieś przy biurkach Wydziału Prasy KC PZPR dotyczyła wprowadzenia stanu wojennego jako wyboru mniejszego zła w imię ochrony kraju przed nieuniknioną sowiecką interwencją.

Generał Jaruzelski jako obrońca ojczyzny przed wkroczeniem Armii Czerwonej i minimalizujący straty był w ten sposób przedstawiany od pierwszych dni stanu wojennego.

Najdziwniejsze jest długie trwanie tego przekonania sprawiające, że w ten sposób na sprawę zdarzało się Polakom spoglądać jeszcze wiele lat po końcu PRL-u. Stan wojenny jako mniejsze zło i ochrona przed sowiecką interwencją były jednymi z najważniejszych haseł propagandy późnego PRL-u. Ich żywotność dowodzi, że w PZPR potrafiono się nią posługiwać.

Ujawniane z czasem źródła przedstawiające generała błagającego w Moskwie o pojawienie się nad Wisłą sowieckich żołnierzy nadal są rozpatrywane raczej w kategoriach wiary niż historycznej dokumentacji. Taka zresztą była skuteczność Wydziału Propagandy i Agitacji, a później Wydziału Prasy – fabrykowane tam legendy zyskiwały status przekonań obywateli i zostawały na długo (na zawsze?) jako element światopoglądu. Było tak od początku do końca PRL-u. Na początku zaś komunistyczne władze potrzebowały mitu założycielskiego, sankcjonującego przejęcie władzy w Polsce. Mitem tym, utrzymywanym latami, były wybory w 1947 roku. Wiadomo, że ich wyniki były sfalszowane, bo gdyby wybory były wolne, komuniści nigdy by ich nie wygrali. Zaangażowanie aparatu represji, inwigilacji i przemocy związanego z przekonywaniem do brania w nich udziału było ogromne. Podobnie zresztą jak we wcześniejszym o rok „referendum” i głosowaniem za zniesieniem Senatu, wprowadzeniem reformy rolnej i granicami na Odrze i Nysie, co – choć nie wprost – było mandatem legitymizacji dla komunistycznej władzy.

W 1947 roku w Polsce wyładował były premier rządu na uchodźstwie Stanisław Mikołajczyk, który chciał stanąć do wyborów.

Kiedy nie udało się go przekonać do kontraktowego modelu przyszłej legislatury, władze musiały zmienić strategię, a sam Mikołajczyk w obliczu niepowodzenia misji, która zresztą dowodziła jego politycznej naiwności, musiał uciekać. Przez ponad 40 lat wyniki sfałszowanych przez Bieruta wyborów nie zostały zakwestionowane, brak legalnych podstaw istnienia państwa, na które raz się zgodzono, został odłożony *ad acta*. Założycielski mit PRL-u, a właściwie jego założycielskie kłamstwo, utrzymał się aż do roku 1989 i pierwszego po wojnie kontraktowego Sejmu, symbolicznie zamykającego epokę, by ustąpić nowej legendzie – porozumienia Okrągłego Stołu oraz wyborów 4 czerwca 1989 roku. Te z kolei stanowią najmocniejszy mit założycielski III RP.

O Okrągłym Stole jednak i o wyborach do Sejmu kontraktowego jako obszarze porozumienia władzy i społeczeństwa nie stanowiło przecież jakieś ogólnonarodowe, wolne referendum. Decyzje o jednym i drugim nie zapadały na ulicy, ale w ośrodkach władzy. Z tego punktu widzenia mitologia obydwu wydarzeń została ukształtowana jeszcze w epoce PRL-u. Wszystkim takie rozwiązanie było na rękę – i społeczeństwu, i komunistom. Każdy dostał to, czego chciał. Społeczeństwo – wolność, komuniści – pieniądze. Rozmowy, jakie prowadziło się w domach w czasie obrad Okrągłego Stołu i czerwcowych wyborów, jasno dowodziły powszechnego społecznego zrozumienia istoty obserwowanych procesów. Mówiło się wówczas nie bez racji o „porozumieniu dupy z batem” oraz o uwłaszczeniu prominentnych członków PZPR na państwowym majątku. Opinie ulicy potwierdzały fakty, z których podróże z walizkami pieniędzy ostatniego skarbnika PZPR i pierwszego skarbnika SdRP, Wiesława Huszczy, należały do najbardziej widowiskowych, choć przecież nie najważniejszych.

Nowe epoki, ustroje i państwa potrzebują nowych mitów, to oczywiste. Okrągły Stół i czerwcowe wybory prowadziły do powstania wolnej III Rzeczypospolitej i wpłynęły na przebieg europejskiej „jesieni ludów”. Jednak sam kształt mitu założycielskiego nowej Polski zawdzięczamy pracom Wydziału Prasy KC PZPR niewahającego się sufłować Mieczysławowi F. Rakowskiemu, ostatniemu i sekretarzowi, kwestii: „Sztandar wyprowadzić”.

**Dzień
Pracownika
Handlu**

**pierwsza niedziela
po 29 stycznia**

NAJWAŻNIEJSZA KSIĄŻKA PRL-U

„Do Bydgoszczy będę jeździł, a tu nie będę kupował”, oznajmia bohater filmu *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz*, któremu nie udało się wpisać do książki skarg i wniosków, funkcjonującej także w PRL-u pod nazwą książki życzeń i zażaleń. To niezwykle instytucja o prawdziwie mitycznej mocy. Dziś grozilibyśmy: „zniszczyć cię w socjał”, wtedy żądało się książki życzeń i zażaleń (lub książki skarg i wniosków). Jeśli obywatel PRL-u był niezadowolony z obsługi w punkcie uspołecznionego handlu lub



Tabliczka informująca, że „książka skarg i wniosków znajduje się u kierownika sklepu” – w przeciwieństwie do wielu towarów, które powinny się w nim znaleźć – była stałym wyposażeniem PRL-owskich sklepów, 1970

usług, mógł swoje skargi i dezyderaty w takiej książce umieścić. W książkę musiał być zaopatrzony każdy punkt handlowy i usługowy, a jej rola była na tyle niezwykła, że obywatelskie wpisy nie miały kompletnie żadnego znaczenia. Wszystkie dotyczyły przecież całości systemu. To on pozwalał sklepom

na nieposiadanie towaru, na handlowanie towarem wadliwym, na brak uprzejmości, na nieprofesjonalną obsługę. Twórcy stosownej książki wiedzieli o tym doskonale. Sam zaś dokument był jednym z dziesiątków wentyli mających kanalizować społeczne niezadowolenie.

Rola książki skarg i wniosków była mityczna – wnioski w nią wpisane do nikogo nie docierały. Centralnie sterowana gospodarka kraju nie otrzymywała notatek ze sklepów. Nawet wówczas było to dość oczywiste. Jednak poczucie drobnego zwycięstwa i niewielkiej satysfakcji zlekceważonego obywatela być może zapobiegało poważniejszym wybuchom społecznego niezadowolenia. Wiara w moc księgi była tak silna, że w sklepach domagano się jej nawet kilka lat po zmianie ustrojowej. Nic dziwnego – po kilku dekadach trudno było zachwiać wiarą obywateli w kontrolę państwa prowadzoną na każdym etapie jego funkcjonowania.

EKSPORT WEWNĘTRZNY? TO NIEMOŻLIWE!

Gdyby chcieć podsumować PRL jednym zwrotem, „eksport wewnętrzny” byłby mocnym kandydatem. „Eksport wewnętrzny”, czyli stuprocentowy oksymoron, doskonale mieścił się w kano-
nach komunistycznej nowomowy, jak wyśmiewany przez Stanisława Bareję „dzień pieszego pasażera” czy Bułhakowski „jesiotr drugiej świeżości”. Eksport wewnętrzny polegał przede

wszystkim na tym, że państwo zakazywało posiadania tzw. walut wymienialnych, czyli pieniędzy z drugiego obszaru płatniczego. Nadal niejasne? Mówiąc normalnym językiem, chodziło o pieniądze obowiązujące w krajach kapitalistycznych, Marki, franki, guldeny, dolary – tych walut obywatel PRL posiadać nie mógł. Zdarzało się, że rodzina z zagranicy chciała nas wspomóc przelewem gotówki. Niestety, takiego przelewu nie można było dokonać, chyba że przechodził on właśnie przez mechanizm eksportu wewnętrznego. Wówczas obywatel PRL otrzymywał kwotę odpowiadającą kwocie wpłaconych przez amerykańskiego wuja, dajmy na to, dolarów. Kwota wypłacana odpowiadała kwocie wpłacanej, to prawda, jednak jej wartość znacznie się od oryginału różniła. Polskie „dolary” wypłacano bowiem w tzw. bonach PKO, których wartość ustalało państwo, nie rynek. Bon PKO jedynie nominalnie odpowiadał zatem wartości wskazanej na banknocie. Eksport wewnętrzny to wynalazek sowiecki z lat 30., sklepy, w których można było płacić walutami wymienianymi służyły państwu do gromadzenia ich zasobu. Nie można było wejść do sklepu Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrznego Pewex i zapłacić „żywym” dolarem, trzeba było w peweksowskim kantorku wpłacić dolary, za które otrzymywało się bony PKO – konwencjonalne, umowne papierki funkcjonujące na dobrą sprawę jedynie w tym sklepie. Dopiero za pomocą bonów można było dokonać transakcji. Bony przydawały się jeszcze do ogłoszeń prasowych treści „bony sprzedam”. Bonami bowiem można było obracać, a walutą – nie. „Bony sprzedam” oznaczało po prostu, że ktoś chce sprzedać dolary. Obrotem dolarami z kolei trudnili się tzw. cinkciarze (od „cinć many” – *change money*, pytaniu, które zadawali obco-krajowcom idącym zrobić zakupy w peweksie).

W każdym peweksie znajdowały się towary zarówno polskie, jak i zagraniczne. Przy kulcie „zagraniczności”, jaki panował w komunistycznej Polsce, każdy z wystawionych tam przedmiotów uchodził za ósmy cud świata. Na półkach stały zatem zagraniczne alkohole, zagraniczne papierosy, nieznane w PRL napoje w puszkach, czekolady Milka, cukierki Tic Tac i guma do żucia. Można było również kupić zabawki, lalki Barbie i klocki Lego. Pewex oraz Baltona dawały także szansę na „ekskluzywne” a przynajmniej – dostępne jedzenie. W peweksie można było kupić konserwową szynkę Krakus z anglojęzycznym napisem *Polish Ham*, to w peweksie czekały na klientów niedostępne poza obiegiem kartkowym butelki wódki Wyborowa, nie mówiąc już o zupełnie nieosiągalnych koniakach, ginach czy (najtańszej zazwyczaj) whisky. Ponieważ obywatele PRL, jako się rzekło, nie mieli prawa posiadać zachodnich pieniędzy, byli zmuszani *nolens volens* do wydawania ich na zasadach narzuconych przez państwo. W peweksie można było kupić nieobecne w Polsce zagraniczne telewizory, sprzęt elektroniczny, a nawet polskie fiaty 126p, na które w rodzimej codzienności trzeba było czekać latami. Eksport wewnętrzny był więc rodzajem reglamentacji – można było kupić tylko to, co państwo uznało za stosowne. Jednak dzięki niemu przez kilkadziesiąt lat Polacy żyli obok Kukanii – mitycznej średniowiecznej krainy wszelkiej obfitości, do której czasami można było się wybrać.